

PISEMKO KUŹNICZANEK

MIESIĘCZNIK

Rok VI. Nr. 5 i 6. Prenumerata rocz. 4'50 Maj i Czerw. 1926

Matko łaski bożej módl się za nami.

Najśw. M. Panna obdarzoną została wszelką łaską, bo poczęła w swoim łonie tego, który jest początkiem i źródłem łaski. Jest łaski pełna, więc może jej innym udzielać.

O Matko łaski bożej wyjednaj nam u Boga, żeby łaska nie była bezowocna w duszach naszych, żebyśmy ją nie czynili bezpłodną jak to się dzieje z promieniami słońca padającymi na lodowce lub na piaski pustyni.

„Kto czyni wolę Ojca mego“ powiedział Zbawiciel „ten bratem, siostrą i matką moją jest“. Oto warunek macierzyństwa duszy w stosunku do łaski.

Najśw. Panna, która zawsze doskonale pełniła wolę bożą, zasłużyła na pełność łaski, na poczęcie w sobie Tego, który jest jej źródłem. Była posłuszną od pierwszej chwili swego życia wszystkim najskrytszym, najdelikatniejszym natchnieniom łaski. Była posłuszną przez cały ciąg swego życia, czuwając w sposób przedziwny nad dziecięctwem Zbawiciela. Można wreszcie powiedzieć, że była posłuszną aż do śmierci i to śmierci krzyżowej, bo cierpiała przy ukrzyżowaniu syna to, co on sam wycierpiał, bo chciała w zjednoczeniu z wolą bożą tych cierpień tak swoich, jakoteż Chrystusowych.

Co się tyczy łaski, Bóg ją daje narówni ze słońcem dobrym i złym; tylko jedni dobrzy słuchają, współdziałają z łaską, a dusza ich nabiera pewnych cech macierzyństwa bożego, by poczynąć i rozwijać w sobie łaskę, drudzy pozostają bezpłodni.

Na tem polega życie chrześcijańskie, postęp każdej duszy i świata całego. Bóg zaczyna, ale człowiek musi słuchać, działać, cierpieć, aby zasłużyć na pewien udział w świętem macierzyństwie łaski.

W historii dusz początki są zwykle cudowne i pełne wielkich radości, koniec powinien być czasem silnych i surowych cnót. Na początku Bóg wszystko daje, a człowiek mało co Mu zwraca. Na końcu życie staje się ofiarą, człowiek stara się Bogu coś zwrócić. Dusza pragnąca tylko cudów i radości, nie wytrwa i nigdy nie postąpi naprzód.

Kiedy się dusza rodzi do życia łaski, zdaje się jakoby ją Bóg nosił, jak matka niemowlę; za nią działa, napełnia ją świętą radością i wielką obfitością sił. Ale człowiek jak syn marnotrawny czerpie z tego skarbu, umniejsza go, aż do fatalnego okresu, niedbalstwa i oziębłości; i w chwili kiedy człowiek powinien działać jak dziecko umiejące chodzić, i zwracać się do Boga swoją wolną wolą przez ofiarę, wtedy zaczyna czuć swoją słabość, swoje ubóstwo, swoją bezsilność wobec grzechu.

Nieraz po wspaniałej wiosnie pełnej oblecującego kwiecia, dusza nie dochodzi do czasu płodności, nie wydaje owoców i nie przynosi Bogu żniwa.

U korzenia drzewa okrytego kwiatami, robactwo prowadzi niszczycielską pracę, mnóstwo drobnych owadów osiadło na kwiatach i na zawiązkach owoców, burze łamią, niszczą co było tak obiecujące i to, co na wiosnę obfitowało w najbogatsze dary nieba, staje się na końcu bezpłodnem.

Zarodek pożądliwości, pychy i zmysłowości z którym na świat przychodzimy, prowadzi swoje dzieło, mimo cudownych darów łaski, najsilniejszych natchnień bożych.

Jeżeli człowiek, w stosunku do otrzymanych darów, nie chce się nawzajem oddać Bogu, poświęcić się, upokorzyć przez wielką czujność, roztropne pokorne posłuszeństwo, nie chce walki gwałtownej, ofiary krwawej, wówczas dusza taka dozna burz namiętności, mnóstwo ukrytych nieprzyjaciół wyniszcza ją w ciągu życia i stanie bezpłodna przed tronem bożym.

O Matko łaski bożej, w której żadna pożądliwość korzenia nie miała, módl się za nami, broń dusze naszej od ostatecznej bezpłodności. Spraw, ażeby wysiłek ludzki odpowiedział wysiłkowi bożemu w sprawie zbawienia, a kiedy przyjdzie dla duszy czas działania z Bogiem, za Bogiem, żeby mu oddała owoce, które On w niej posiał, a nie okazała się bezpłodną, na podobieństwo drzewa figowego, które Jezus przeklął, bo nie znalazł na niem owocu.

O Matko łaski bożej! chcę od dziś zacząć działać, cierpieć, ażeby uniknąć ostatecznej bezpłodności. Bóg mnie ciągle pobudza swoją łaską, chce mnie z odrętwienia wyrwać i ze snu obudzić. Jak często mówi do mnie; „wstań i chodź“. A ja nie idę. Codzień mnie budzi, a ja śpię dalej. „Czuwajcie i módlcie się“ „wstań i chodź;“ „bierz krzyż swój i chodź za mną“ oto są słowa którymi do mnie przemawia. Ale któż się budzi do życia prawdziwego i do bożej działalności? Kto umie iść wytrwale? kto chce krzyż dźwigać? Ja dziś chcę o Matko łaski bożej! Dość długo się wahałam, dość długo leżałam w śnie pogrążona. Godzina późna. Czas jaki mi Bóg daje do życia, na ziemi byłby stracony gdybym teraz nie powstała.

(Z *Ojca Graty*).

Z życia p. Jenerałowej (młodość) 13.

Z tem wszystkiem jakąś miałam swoją logikę posuwającą każdą zasadę, którą za słuszną uważałam, aż do ostatecznych wyników i do niedorzeczności. Nie mogłam znieść, żeby mi robiono podarunki, uważałam wszelki podarunek za obrażającą mnie jałmużnę. Miałam jakieś szuflady, do których składałam wszystko, co mi darowywano, a było tego dużo, bo między innymi panna X. chciała tym sposobem odplacać gościnność moich rodziców.

Nie mogłam siostróm przebaczyć, że używają rzeczy przez nią darowanych. Oddać ich nie mogłam, bo Matka na to nie pozwalała, ale za nic w świecie nie byłabym tych rzeczy używała. A że ona starała się dawać nam to, co mogło być najbardziej dla nas nęcącym lub potrzebnem, zwykle te najpotrzebniejsze mi rzeczy leżały nieużyte.

Nie dość na tem, skoro zrozumiałam, że wszyscy ludzie są równi, uważałam, że wszyscy do wszystkiego równe mają prawa i mawiałam służącym, że jak im czego potrzeba, mogą brać w moich szufladach, które zawsze w tym celu były otwarte; bo u mnie wszystko było dla wszystkich.

Z tem wszystkim miałam uczucie, że podłością jest cokolwiek czynić dla względów ludzkich. W mojem ocenieniu ukłonić się komuś, nie mając dla niego szacunku, było taką podłością.

Dość, że nie wiem, czy istnieje wada czy niedorzeczność, którą się w owym czasie nie odznaczałam. Jak dzisiaj o tem myślę, to łatwo domyślić się mogę jak nieznośną być musiałam.

Ale ta gwałtowność, moich wad i moich niedorzeczności stała się moim ratunkiem.

Mimo wszystkich moich wad, miałam niezmierne pragnienie doskonałości, acz sama nie wiedziałam na czem ona zależy. Tak jak siostra szukała jej w ludziach, tak ja jej szukałam poza ludźmi. Sama sobie nie zdawałam sprawy dokładnie czego szukam, ale ile razy spotkałam się z rzeczą dobrą i piękną, to mnie coś unosiło z radości, chwyciałam się tego namiętnie. N. p. kiedyś usłyszałam oratorjum Haydena „Stworzenie świata“ byłabym wtenczas porzuciła wszystko dla muzyki, bo tam mi się okazało przybliżenie do doskonałości.

P. Birt darowała mi 3 tomy astronomji. Te książki inne mi dały pojęcie o doskonałej harmonji, namiętnie zaczęłam się zaciekać do harmonji. Sztuch, obraz, książka, nauka, wszystko z kolei dawało mi pojęcie o jakiejś doskonałości i wszystko, co taki miało obłask byłabym chciała uchwycić.

Widziałam swoje wady, w części brzydziłam się niemi i pogardzałam sobą, ale przeistoczyć się nie umiałam.

Kiedyś Matka zaprowadziła nas do spowiedzi do jakiegoś staruszka X. Zelanda. Powiedziała mi na spowiedzi, że nie wiem czy tak jest, ale że mówią o mnie, że jestem dumną. A on na to: „moja panno, vox populi vox Dei, kiedy tak mówią, to tak być musi“.

Bardzo mi się to spodobało, raz dlatego, że mnie nie nazywał duszą, sercem, dzieckiem, ale że tak sztywno się wyrażał, a potem, że mnie nie uniewinniał we własnych oczach.

Za pokutę kazał mi czytać codziennie żywot świętego na ten dzień przypadającego ze Skargi.

Tego dnia przypadł żywot św. Tekli. Czytałam z zachwyceniem i przyszło mi na myśl, czy to nie w świętych znajdzie się doskonałość. I takiego coś dziwnego wyrobiło się w moim biednym mózgu, że w świętych nie to widziałam, co ich uczyniło tak doskonałymi, ale tę doskonałość samą w sobie. Wszystko co o świętych czytałam, a od tego czasu czytałam ciągle i ciągle do spowiedzi do X. Zelanda chodziłam, wszystko to starałam się naśladować, ale nie dla Boga, ale dlatego, że to uważała za doskonałość.

Dwie rzeczy dużo mi do tego pomogły. Pani wojewodzina Działyńska nasza babka zaabonowała dla mnie choć jej nie znałam „Ma-

gasin Pittoresque“, a Ojciec przez pamięć dla niej po jej śmierci dalej abonament dla mnie płacił.

Otóż któregoś wieczora znalazłam w tej książce wzór zeszytiku w którym Franklin robił rachunek sumienia co wieczór.

Wydawało mi się, że odrazu znalazłam niechybny środek poprawienia się z moich wad i osiągnięcia doskonałości wszystkich świętych.

Tego samego wieczora, w tenże sam sposób, książeczkę sobie polinjowałam i zaczęłam robić rach. sumienia, nie z wieczora, ale za każdym przewinieniem znacząc w książeczce ile razy miałam sobie coś do wyrzucenia.

Tych moich grzechów zapisanych w książeczce było co niemiara, między innymi jeden, który z pewnością w żadnym rach. sumienia się nie mieści.

Zaznaczono mi, że zawsze biorę na siebie jakąś pierwszą rolę; było to o tyle ponętniejszem, że siostra moja i dziesiątej sobie nie przyznawała i że bardzo była nieśmiała.

Ja zupełnie nie wiedziałam, że można czegokolwiekbaż się bać, lub wobec kogokolwiekbaż być onieśmiałoną, Ojciec tak mnie był do siebie ośmielił, że o wszystkim z nim śmiało mówiłam. A że Ojciec był dla mnie ponad całym światem, oczywistą było rzeczą, że jeżeli z nim mogę otwarcie zdanie wypowiedzieć, to i z każdym innym.

Nie bałam się niczego, ani psa, ani konia, ani wody, ani ognia, ani rusztowań kórnickich, w ogóle niczego. Zawsze wszędzie byłam pierwszą, gdy chodziło o dokonanie czegoś niebezpiecznego. Dość, że mi zarzucano to ogarnianie dla siebie pierwszej roli.

P. Birt mawiała, że w orkiestrze rwę się do pierwszych skrzypiec „first fiddle“. Naznaczyłam więc to „first fiddle“ w rach. sumienia. Miałam 3 rodzaje znaczków: podwójny krzyż, jak zupełnie zawiniłam i prosty krzyż jak się na wpół drogi powstrzymałam; prosta pałeczka, jak wewnątrz zawiniłam, ale na zewnątrz się opanowałam.

Dość, że żaden artysta, żaden rzeźbiarz, sumiennie nie rzeźbił marmuru, jak ja swoją duszę i życie.

Ale wszelka praca bez nadziei, nie bardzo się udaje, a ta nadzieja nie wiem skądby mi była przyszła, gdyby Matka prawdziwie macierzyńską mądrością powodowana nie była mi jej dała.

Któregoś roku 4-go lipca, w dzień moich urodzin niebardzo miałam czyste sumienie; wiedziałam, że mieli mi co niemiara grymasów, gniewów i wszelkiego rodzaju przewinień do zarzucenia, niebardzo się czułam w łasce u mojej Matki. Zdaje mi się, że tego dnia kończyłam lat 14-ście. Matka powiedziała mi, że przestaję być dzieckiem i że muszę zachowaniem swoim to stwierdzić, że taką byłam słabowitą, że wszyscy mieli wyrozumiałość dla mnie dotychczas, ale że teraz jestem starszą i silniejszą, że zatem wszyscy mnie surowiej sądzić będą, że Pan Bóg nie dopuszcza na nikogo pokus nad siły, że kto chce ten może się przeistoczyć, że bylebym chciała to z pewnością znajdę w sobie siły do tego, do czego ich poprzednio nie miałam. Że wszystko, co mi było dotychczas do zarzucenia, kładło się na

karb wieku dziecinnego i zdrowia, że każdy gotów o tem zapomnieć, ale że teraz inne życie trzeba zacząć i że z pewnością mi się uda.

Do najwyższego stopnia się ucieszyłam, myśląc, że moja przeszłość jest jakby nie była i że przyszłość taką będzie, jak ją zrobię.

Oprócz mego brata, X-dza Zelanda, Żywotów Skargi, ciągłego rach. sumienia, wyżej przytoczonych słów Matki, ktoś jeszcze wpłynął na mnie i na całą przyszłość moją w sposób niezatarty.

Mieszkał w Poznaniu ukochany i niezmiernie przez moich rodziców szanowany Dr. Karol Marcinkowski. Był to człowiek jakich na świecie mało. Dla drugich dobry, współczujący, miłosierny, poświęcony, szczodry o tyle, o ile dla siebie był twardym, ostrym nieugiętym i niemilosierdnym. Jako lekarz głównie chorymi się zajmował, ale zawsze miał gotowe posłuchanie, współczucie i mądrą radę na wszelkie innego rodzaju ludzkie utrapienia.

Dniem i nocą niósł pomoc najbiedniejszym, nieraz z narażeniem własnego życia. A przytem taki Polak!

Chciał kraj dźwignąć, uwalniając go, ile możebna, od żydowsko-pruskich wpływów i wyzyskiwania.

W tym celu starał się podźwignąć narodowy przemysł i kupiectwo.

Wszystkie zajezdne domy i wszelki handel, były w rękach żydów i niemców. Pan Marcinkowski składkowemi funduszami wybudował tak zwany w Poznaniu Bazar, wielki gmach, którego wyższe piętra służyły za oberżę, a cały dół wynajmowany był samym polskim kupcom.

Niestety! kupców improwizować nie można. Trzeba wiele lat cierpliwości i nauki wytrwałej, żeby z jakiegokolwiek człowieka zrobić mądrego kupca.

To też pierwsze początki polskiego kupiectwa w Poznaniu więcej przyniosły pieniężnych strat niż korzyści, nie dla samychże kupców, którzy zwykle zaczynali bez własnych kapitałów, ale za pożyczony grosz.

Po ten pożyczony grosz, często bardzo pan Marcinkowski przechodził do moich rodziców. Temu pożyczono 1.000, tamtemu 2.000 innemu 3.000 i więcej talarów. Te sumy, ile wiem, zwykle nie powracały się wcale. Ale cóż było począć? Rodzice dzielili zapatrywania p. Marcinkowskiego, pragnęli tego polskiego kupiectwa, a nie było sposobu innego rozbudzenia go.

To też jeżeli ogromne pieniądze wykładane przez rodziców na to polskie kupiectwo z razu nie przyniosły pożądaných skutków, to sam fakt, że na sklepach mogły być polskie nazwiska i napisy, oswajał nasze społeczeństwo z myślą, że kupiectwo jest i dla Polski możebnym zawodem. I jeżeli ci pierwsi pionierzy polskiego kupiectwa, prawie co do jednego pobankrutowali, to jednak niejednen chłopiec przechodzący zwrócił w tę stronę myśli i nauki.

A tak, jak się często zdarza na wojnie, w czasie kiedy jakaś garstka walecznych ginie w nierównej walce i jakby bez celu, inne i regularne wojsko ma czas się do boju sformować i stanąć do zwycięstwa, wetując straty przez poprzedników poniesione.

Więc i te datki rodziców moich, które tak często wydać się mogły próżne i stracone, nie mało się przyczyniły do późniejszego rozwoju polskiego kupiectwa.

Przemówienie Adolfa Suligowskiego, miane na Akademji ku uczczeniu pamięci śp. p. Jeneralowej i hr. Wł. Zamoyskiego.

Jest to cechą każdego zdrowego społeczeństwa czcić pamięć i składać hołd tym, którzy Ojczyźnie wiernie służyli i do podniesienia kraju skutecznie się przyczyniali.

Zasługi położone dla Ojczyzny podtrzymują budowę narodową, budowę państwową. Im więcej takich zasług, tem gmach państwowy jest potężniejszy i lepszy.

Czy to będą rycerskie odznaczenia na polu walki przeciwko wrogom kraju, czy prace na polu literatury i sztuki ojezycznej, czy czyny społeczne i obywatelskie w imię dobra kraju spełniane, we wszystkich tych wysiłkach i objawach poświęcenia tkwi moc i siła, na których gmach ten się opiera.

To mówiąc, mam na myśli hr. Władysława Zamoyskiego, jego płodną dla polskiego społeczeństwa cało-życiową pracę i jego czyn ostatni przedśmiertny, o którym tutaj była mowa.

Przyomną jest w mojej pamięci chwila z przed 45-ciu laty, kiedy Zakopane, będące wtedy własnością rodziny Homolaczów, nawpół Polaków, nawpół Węgrów, wystawione zostało na subhastację za długi. Stoi mi żywo przed oczyma zakłopotanie i trwoga przeznaczonego dr. Chałubińskiego, który ten zakątek polskiej ziemi tak gorąco ukochał, a nie był na tyle możnym, aby dobra kupić i nie dopuścić do przejścia w ręce niepowołane. Wiadomo zaś było, że Węgrzy i różni spekulanci zwracali na Zakopane oczy, licząc, że dzięki pracy patryjotów polskich, ma ono szanse wielkiego rozrostu i rozwoju.

I oto znalazł się syn wygnańca i sam wygnańiec, któremu nie wolno było przyjechać do własnych dóbr Kórnickich, i oto Władysław Zamoyski stanął do licytacji, zaofiarował sumę najwyższą i ten najpiękniejszy zakątek ziemi przeszedł do rąk polskich, które odtąd z największą usilnością pracowały nad podniesieniem Podhala tatrzańskiego i nad zrobieniem z Zakopanego letniej stolicy Polski.

Czy zajrzemy do walki Zamoyskiego z rządem pruskim o dobra Kórnickie, na które ostrzył sobie apetyt rząd pruski, czy wnikiemy w gospodarke jego w Kórniku i w rozwój biblijoteki kórnickiej, czy zajrzemy do gospodarki w Zakopanem, które przy jego wpływie stało się z czasem siedliskiem patryjotyzmu, czy weźmiemy pod uwagę walkę jego z Węgrami o Morskie Oko, czy wreszcie ciche zabiegi w łączności z Paderewskim i Dmowskim w Paryżu w 1918 roku o niepodległość Polski, Zamoyski zawsze był wielkim patryjotą, dążącym do odrodzenia Polski i do podtrzymania ducha narodowego na każdym polu.

Cichy abnegat, nie szukający rozgłosu, kryjący się z tem, co dobrego czynił, trzymający się na uboczu i nigdy z niczem nie narzucający się — oto cechą jego charakteru.

Typ najszlachetniejszy.

Dzięki tej nadzwyczajnej i niezwyklej skromności za mało się w kraju o nim mówiło, za mało społeczeństwo o nim wiedziało. O każdym innym na jego miejscu wieleby pisano, niejednokrotnie rozplywanoby się w pochwałach, niejednokrotnie by go okrzykiwano i wiwatowano. Ten skromny człowiek, jak gdyby chował się gdzieś ze swojemi dobrymi myślami i dobrymi czynami, a gdy te wychodziły na jaw, nie dopuszczał do żadnej dyskusji, unikał wszelkiej reklamy.

Miałem szczęście znać nieboszczyka, miałem szczęście zetknąć się z nim kilkanaście razy i mogę śmiało powiedzieć, że tylko człowiek żyjący nie dla siebie, żyjący z myślą jedynie o kraju, tylko wielki patrijota mógł być tak niewysławienie skromnym.

Przypominam sobie moje ostatnie z nim spotkanie w roku 1922 w Poznaniu, gdy skromną bryczką przyjechał ze wsi do miasta i zasiadł przed Bazar na Alejach Marcinkowskiego. Zobaczywszy go poszedłem i zaznaczyłem moją radość, że dobra Kórnickie znalazły się pod jego bezpośrednim kierownictwem. Odrzucił tę pochwałę i podawszy mi rękę, powiedział krótko: „to łaska Opatrzności, ja tu nie mam żadnej zasługi“.

Koroną jego szlachetnego życia był zapis, wraz z czcigodną matką Jadwigą z Działyńskich hr. Zamoyską, całych dóbr Kórnickich oraz dóbr Zakopane wraz z dobrami Trzebow i Gądky, obejmujących łącznie 70.000 morgów ziemi, a to wraz z pałacem i biblioteką w Kórniku, oraz z domem w Poznaniu narodowi polskiemu na cele oświatowe i kulturalne.

Sejm zatwierdził ustawę fundacji Kórnickiej, ale nie znalazł się nikt w Sejmie, któryby zaproponował jakiś sposób uczczenia tego niezwykłego Męża. Przyjęto to jako dobrze spełniony obowiązek obywatelski, a przecież w tym ólbrzymim darze tkwi coś więcej, aniżeli obywatelski obowiązek, tkwi niezwykła ofiara na ołtarzu Ojczyzny, oparta na patrijotyzmie bez granic.

Kiedyś jeszcze przed wojną, przy spotkaniu w Zakopanem zmarły oświadczył mi, że potroił w ciągu swojego życia majątek, ale potroił nie dla siebie, bo żadnych potrzeb nie miał, na siebie nic nie wydawał, żył w prostocie i jak najskromniej, potroił dla Ojczyzny, aby jej więcej dać i zapisać.

Czyny dobre mają swoją siłę przyciągającą. Oto zaledwie rozszła się wieść o zapisie Zamoyskich, aliści również wielkopolanka hr. Potulicka w kilka miesięcy później, sporządziła zapis dóbr Potulickich na uniwersytet w Lublinie. Sprawa zatwierdzenia tego zapisu jest w biegu.

Okazuje się, że szlachetne czyny czarują, odsłaniając w duszach wrażliwych radość i rozkosz pięknych postępków i wnoszą te czule dusze na szerokie wyżyny wzniosłych ideałów. Ludzie w rodzaju Zamoyskich — to stewicy dobra ogólne — to najszlachetniejsi oracze niwy społecznej.

Zgon takich ludzi, jak Jadwiga z Działyńskich Zamoyska, jak Władysław Zamoyski, budzi refleksje o potrzebie podkreślenia zasług społecznych.

Parlament angielski od paru wieków w tak zwanej Kolegjarie św. Piotra, czyli Opactwie Westminsterskiem, w którym mieszczą się groby rodziny królewskiej, zarządził stawianie pomników chociażby w skromnej formie wielkim ludziom Anglii. Kolegjata ta posiada liczne popiersia, medaljony i tablice dla uczczenia zmarłych znakomitości. Niezależnie od tego w roku 1850 Parlament Angielski uchwalił otworenie jeszcze galerji portretów, która obejmuje obecnie więcej niż 1500 portretów zasłużonych na różnych polach ludzi, a w tej liczbie i działaczy społecznych, poczynając od końca XVII wieku.

Kto wie, czy nie byłoby słusznem, aby Polska posiadała podobną galerję swoich mężów zasługi. Nie licząc wielkich ludzi z czasów dawnej Rzeczypospolitej, epoka niewoli dostarczyła nie mały zastęp męczenników i pracowników godnych uczczenia.

Gdyby to się stało, Władysław Zamoyski i jego matka, znalazłiby się w tej galerji.

Szlachetny Duchu! Ty, który unosisz się teraz gdzieś tam na wysokościach ponad nami, nie odmów nam swojej opieki i swego orędownictwa przed tronem Najwyższego.

Z łaski Opatrzności za cierpienia i bóle podczas niewoli odzyskałiśmy naszą Ojczyznę, a i dzisiaj do Opatrzności wnosimy ręce i korzemy się na kolanach z prośbą o dalszą opiekę i o dalszą dla nas pomoc.

Władysławowi Zamoyskiemu za jego szlachetne czyny cześć! cześć! cześć!

Jasne chwile.

„Szukajcie Pana, póki znalezion być może, wzywajcie go, póki jest blisko“.
(Izajasz LV 6.)

Bywając często w Zakładzie Kórnickim, dziś już w charakterze nauczycielki — wracam chętnie myślą do tych błogich — jasnych chwil życia mego, gdy przebywałam tam jako uczenica... Z tych wrażeń, które utkwiły mi w pamięci postanowiłam skreślić parę wspomnień — może nawet bardzo osobistych, ale zarazem pokrewnych duchem i odczuciem wielu uczenicom, które nie mając na to czasu, aby samej to spisać — zgodzą się w wielu względach z moimi zapamiętaniami i przyznają, że chwile spędzone w Zakładzie Kórnickim — są prawdziwie.. jasne... Trzeba się tylko nad tem zastanowić...

Słowa Pisma św., które na wstępie umieściłam jako „motto“ do tej pogadanki same wyjaśnia..

„Szukajcie Pana, póki znalezion być może...”

Czem jest pobyt w Zakładzie jak nie szukaniem — Pana — Boga — Stwórcy.. Kiedy znalezion być może, jak nie w młodzieńczych latach — górnych choć nieraz — chmurnych porywach duszy młodej...

Życie codzienne od najwcześniejszych lat dzieciństwa, nauka szkolna, wychowanie domowe choćby najstaranniejsze, nie dadzą nam nigdy tego, co daje Zakład Kórnicki, który kształci *duszę ludzką* — na to czasu niema, specjalnem wykształceniem tej duszy nikt się

zająć nie może w latach nauki szkolnej, bo nawet najstaranniejsze lekcje religii, najgorliwszy katecheta szkolny, odbywa tę naukę zbiorowo i dać może tylko podstawy, fundament dla przyszłego rozwoju duszy...

Ażby dusza rozwinąć się mogła, potrzebne są powne warunki: otoczenie, nastrój ogólny, czego w świecie nie znajdzie się tak łatwo. Dopiero po pobycie w Zakładzie i to dłuższym, dusza czuje się wzmocnioną, zdrową, dojrzałą do życia, może panować nad całą istotą ludzką i rozkazywać tam, gdzie zajdzie tego potrzeba.

Co więcej jeszcze, Zakład daje poza wzmocnieniem duszy, to jest tę przedziwną hormonję jaka się wytwarza przy zrozumieniu idei Zakładu Kórnickiego, — harmonja wewnętrzna, płynąca z opanowania wszystkich władz człowieczeństwa i połączenia w całość ku „chwale Bożej, a pożytku dla Ojczyzny“ pracy duchowej, umysłowej i ręcznej...

A teraz wracam myślą do tych jasnych chwil w życiu mojem, w których nabrałam sił do walki późniejszej, do życia w świecie w przeróżnych warunkach...

Miałam wtedy lat 17! Celująca z odznaczeniem uczenica pensjonatu, czytana i to w różnych dziedzinach, bo garnęłam się do nauki namiętnie, oddająca się sportom, jak jeździe konnej w szczególności — zaczęłam też gustować w życiu towarzyskiem i naturalnie... „kochać się“ w jesieni — kiedy najpiękniejszy sezon polowań z chartami na wsi — zawleżono mnie do Zakładu... wiedziałam oddawna, że tam wedle programu uczynionego przez moją matkę, być muszę — ale przerwa ta w swobodzie w jakiej żyłam po ukończeniu pensji — była dla mnie katastrofą... Pocieszałam się jedynie tem, że będę w Zakopanem robić sobie wycieczki — pozatem nad Zakładowem życiem nie zastanawiałam się wcale.

Spotkanie moje pierwsze z p. Jenerałową uczyniło dziwne wrażenie, do dziś jeszcze to pamiętam... Coś podświadomego zapukało wtedy do mej duszy... ale cała bujna natura moja buntowała się przeciw ostremu regulaminowi Zakładu i to do tego stopnia, że jak p. Głan czytała mi po francusku ustęp o milczeniu przymusowem — wybuchłam złością wielką i zaczęłam... płakać! Cóż to będzie — czy na karmelitankę chcę mnie tu przerobić — ja chcę żyć — mam do tego prawo — nie dam się zmusić do niczego, dokąd nie uznam słuszności tych przepisów.

Ambicja jednak zawsze wzorowej „pierwszej“ uczenicy, wzięła górę nad buntem wewnętrznym i pozornie „przyzwocić“ się zachowywałam.

Pamiętam tylko jak w bibliotece chciałam jakiejś powieści, a dowiedziałam się, że tylko poważne książki naukowe, filozoficzne, historyczne mogę w tym roku pobytu w Zakładzie czytać... wybrałam sobie „Mes prisons“ Silva Pelico...

Gdy zesłam na podwieczorek i podano mi mleko i czarny chleb, wówczas zaczęłam już wyraźnie odczuwać że i ja jestem „uwięziona“... i że tego wytrzymać nie mogę.

Pisać do domu nie chciałam o tych utrapieniach, bo się wstydziałam, że mogę czegoś nie wytrzymać, ale postanowiłam uciec w góry,

a potem oczywiście do rodziców... i byłam pewną, że potrafię tak odmalować Zakład, że mnie już do powrotu nie zmuszą.

Tymczasowo zaś z zaciętością ponurą wykonywałam zajęcia, do którego mnie przeznaczono — kredens — unikałam tylko zawsze spotkania z p. Jenerałową, bo nie mogłam znieść jej wyroku. Coś się wtedy zemną działo, czego nie mogłam sobie wytłumaczyć.

Lekcje żadne nie imponowały mi wcale, bo umiałam więcej niżeli tu wymagano: historii, rachunków, rysunków, tylko na lekcjach p. Jenerałowej zaczęłam myśleć...

Najpierw po co się tu znosi tyle „męczarni“ — a potem kto to właśnie wymyślił ten regulamin i do czego to ma prowadzić..

Z tych refleksji wszystkich zawsze i wszędzie osoba p. Jenerałowej rosła mi w oczach jak coś nadprzyrodzonego i zaczęłam szukać okazji zbliżenia się do niej.

Pamiętam szczegółowo każdą z moich t. zw. w życiu Zakładowem... rozmówek... Byłam zawsze szczerą — krytykowałam wszystko co mi się wydawało niepotrzebnem umartwieniem — więc publiczne notatki, godziny milczenia, przesadę w porządku, rewizję listów, zakaz chodzenia „dwójkami“ — wogóle to, co jest niezrozumiałem dla każdej „nowej“ z uspioną „duszą“ uczeniicy. Odpowiedzi p. Jenerałowej proste, rozumne, jasne, a przytem jej oczy przenikliwe patrzące na mnie sprawiły to, że już po trzech miesiącach nie pytałam się więcej — tylko zaczęłam... żyć...

Dusza moja zbudziła się i żywiłowo nabierała — tchu w zdrowej atmosferze Zakładu. Jeżeli jeszcze tu i ówdzie były jakieś chwilowe nieporozumienia, to tylko wskutek bujności mego temperamentu — który wybuchał od czasu do czasu, znużony jednostajnością życia Zakładowego.

Rekolekcje pierwsze w Zakładzie zrobiły na mnie niesłychane wrażenie... Postanowieniami uczynionemi wtedy żyłam długie lata i zawsze odzywało się ich echo potem — kiedy ich wykonać nie mogłam, dziwnie smutne echo... jasných dni słońca prawdy w ciemnościach życia tak bardzo ziemskiego...

Krystyna Brudzińska

Wrażenia z podróży samolotem (wyjątek z listu).

O mej podróży samolotem dowiedziałam się w przeddzień wyjazdu. Zaczęto mnie od niej odmawiać, grożąc powszechną u osób jadących po raz pierwszy samolotem podróżą do miasta portowego.

Pod wrażeniem tych przyjacielskich przestróg, całą noc nie spałam i wciąż zdawało mi się, że już jestem chorą na morską chorobę, chociaż wogóle nie mam do tego skłonności.

Jednak ani myślałam zrezygnować z lotu i nazajutrz o godz. 10-tej siedziałam już wygodnie w małej kabince błyszczącego w promieniach słonecznych aeroplanu! Przymocowano mnie mocnym skórzanym pasem do siedzenia, zamknięto drzwiczki i nagle uczułam, że samolot odrywa się od ziemi.

Lecieliśmy coraz wyżej i wyżej zostawiając tam, w dole Warszawę, to olbrzymie rojowisko ludzkie, które jednak, jak zresztą wszystko oglądane z wysokości, przestaje imponować wielkością i rozległością.

Potem przelecieliśmy szybko okolice podmiejskie i lecieliśmy nad jakimiś wioskami, to znów nad polami i lasami.

Wszystko z samolotu wydaje się tak śmiesznie małym, zupełnie jak gdyby się patrzyło na mapkę plastyczną.

Zato widok jest cudownie rozległym. Widziałam porządną szmat ziemi naszej kochanej, pięknej mimo zimowego stroju, poprzerzynanej całej siecią błękitnych i srebrnych nici poplątanych ze sobą rzeczek i strumieni.

Szczególnie podobał mi się lot nad Pilicą. Nie odczuwałam zupełnie lęku. Wszystko wokół mnie było zbyt piękne i zbyt potężne, żebym mogła bać się o swą osobę, taki jakiś nędzny pyłek ziemski.

Mówią, że człowiek, pochłonięty wyłącznie myślą o sobie, zmienia się po wejściu w jakieś wielkie zbiorowisko ludzkie. Przestaje myśleć o sobie jako o czemś, wobec czego kręci się cały świat; przeciwnie, czuje, że on jest takim ot sobie mizernym plonkiem, wśród tysięcy, i że o tyle jest coś wart, o ile może coś zrobić dla innych, o ile może być jakąś pożyteczną częścią tej machinerji.

Zdaje mi się, że podobny proces tylko w znacznie wyższym stopniu następuje u człowieka jadącego samolotem. To poczucie swego nicestwa dało mi doprawdy dużo szczęścia. Poczulałam, że dusza moja wyszła z ciasnej skorupki swojego nędznego ja, zrozumiałam, że jestem pyłkiem tej ziemi, która nagle tak mi zmalała wraz ze swemi sprawami.

Nie odczuwałam ponadto swej cielesnej powłoki. Jedynie oczy chłonęły te cuda i cała moja istota zda się była owym radosnym spojrzaniem na świat.

Spełniły się moje marzenia, by płynąć na chmurze. Tyle razy chciałam być ptakiem i byłam ptakiem. Taka byłam szczęśliwa, że zdawało mi się, że to nie samolot tak szybko pruje powietrze, jeno że to ja stałam się takim radosnym pędem naprzód.

I dziwne to poczucie, że się pogardza strachem. Zresztą może właśnie z tych dwóch uczuć i poczucia własnej nędznej małości, oraz z poczucia takiego wielkiego jasnego szczęścia zjawiała się myśl o Bogu, Stwórcy tych niezliczonych miliardów gwiazd i planet przeróżnych. A potem myśl o tem, że wszystko w ręku Boga i uczucie wielkiej ufności i wdzięczności za wszystko. Ach jakie to było piękne!

Muszę koniecznie jeździć samolotem, a jeśli będzie kiedy możliwość, to muszę się nauczyć kierować motorem.

J. H.

Wiadomości.

Nasze Panie wróciły z Warszawy bardzo zadowolone z posiedzenia Ziemianek, są pod wrażeniem dobrze i mądrze zorganizowanej ich pracy, która krajowi pożytek przynosi. Zwłaszcza podobała im

się działalność na kresach, która polega na tem, że jadą tam we dwie lub trzy i urządzają na miejscu w warunkach miejscowych kursa rzeczy najpotrzebniejszych jako to: gotowania, szycia, kroju, porządku i t. p. przytem miewają pogadanki o higienie, wychowaniu dzieci, pielęgnowaniu niemowląt i t. p.

Podano na tych posiedzeniach projekt, aby w szkołach gospodarczych mniej było teorii, a więcej praktyki i żeby każda szkoła gospodarza miała prócz podanego kursu jakąś swoją specjalność. Kuźnicom przyznano, jako specjalną cechę, wyrobienie praktyczne i moralne jednostki.

Mówiono też, że należy przyjmować do szkół seminarjalnych uczennice o wyższym poziomie naukowym po ukończeniu 5 lub 6 klas gimnazjalnych.

Smutna okoliczność, bo śmierć p. Józefa Platera sprowadziła do Zakopanego jego siostrę p. Walichniewiczową, naszą dawną uczenicę, która przy tej sposobności odwiedziła wraz z mężem Zakład i dała nam poznać z fotografii swoich dwóch prawdziwie pięknych synków. Bardzo nam było miło widzieć się z nią.

Wielki tydzień, a zwłaszcza ostatnie jego dni, zeszyły nam w skupieniu i głębokiem ścisłym milczeniu.

Dużo uczenic, bo 60 kilka, oraz kilka pań, rozjechało się w różne strony na wakacje.

Jak innych lat, tak i tego roku mieliśmy z czwartku na piątek i z piątku na sobotę nocną adorację.

Spora gromadka uczenic udała się w wielką sobotę wieczorem na rezurekcję do kościoła parafjalnego.

Czas w pierwsze dni świąt był słoneczny i ciepły, można było urządzić przechadzki.

Przez czas wakacji lekcji nie ma, mniej milczenia ale roboty dużo, bo dom się czyści, odświeża, maluje, bieli, a uczennice w tem udział mają.

Jeżeli która z naszych abonentek nie otrzymała dotąd obrazka pośmiertnego p. Jenerałowej i okładki do „Pisemka“ na rok 1926, niech się o to upomni, a nie omieszkamy tych rzeczy przesłać.

Jedną z naszych dawnych uczenic p. Łoskowska, z domu Chełmońska radaby mieć kuźniczkę do prowadzenia gospodarstwa na wsi.

Jeżeli jaka kuźniczanka szuka podobnej posady, niech się zgłosi listownie o warunki pod adresem: Janowice pocz. Piątek ziemia Kaliska.

Intencja.

Modlitwa o najpilniejsze potrzeby kraju. O jedność, zgodę, gotowość do ofiary dla dobra kraju.

Praktyka.

Naśladować N. M. Pannę w wierności natchnieniom łaski.

Wydawca: Zakład Kórnicki — Szkoła domowej pracy Kobiet w Zakopanem

Redaktorka: Aniela Strawińska — Zakopane, Kuźnice

Z drukarni Towarzystwa Św. Michała Archanioła w Miejsu Piastowem.